

1



**Z  
T  
V  
B  
A  
K**

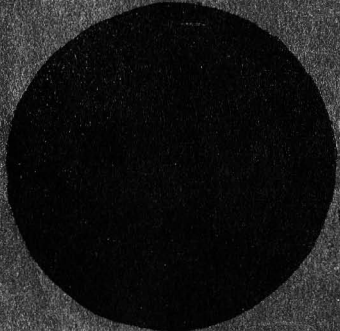
**MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻY SZKOLNEJ**



*egremplary*

*Asanow*

WYDAWCA: „SAMOPOMOC”  
PRZY GIMN. IM. A. ASNYKA



WRZESIEŃ - PAŹDZIERNIK - 1932.  
ROK TRZECI.

### TREŚĆ NUMERU:

Od Redakcji. — Ś. p. Michalina Mościcka — wspomnienie. Tadeusz Pniewski — Bohaterom przestworzy. Janusz Zielewski — Frontem ku morzu. Jerzy Koźmiński — Słońce i wino. Włas. — Na mych gwizdzących ust koralu... Włas. — Płonąca granica. Manas Kott — „Jak to na wojence ładnie”. Józef Garliński — Prawo wojny. A. Braude — Moment. Tadeusz Pniewski — Rozmowa z mistrzynią świata. Józef Garliński — Młodość. Kronika. Dział rozrywkowy. Odpowiedzi Redakcji.



67-0130000  
Wielka Biblioteka Publiczna w Kaliszu

---

Wydawca: „Samopomoc” uczni. przy Gimnazjum Human. im. A. Asnyka.  
Oplekun: p. prof. Nowosielski.

Redaktor naczelny: Tadeusz Pniewski, kl. VIII, ul. Lipowa 16.  
Dział literacki: J. Zieleniewski, kl. VIII, J. Garliński, kl. VII.  
Dział popularno-naukowy: J. Garliński, kl. VII.  
Dział rozrywkowy: L. Wojtczak, kl. VIII.  
Administracja: L. Wojtczak, kl. VIII.

Adres Redakcji i Administracji (czynnej w czasie trwania roku szkolnego)  
Kalisz, ul. Grodzka, gimn. im. A. Asnyka, Redakcja „Sztubaka”.

---

**CENA 40 GR.**

Prenumerata roczna 4 zł. (10 numerów).

# SZTUBAK

---

Redakcja i Administracja główna: Kalisz, ul. Grodzka, gimn. Asnyka. Redaktor naczelny: T. Pniewski, kl. VIII

---

## Od Redakcji

*Mała przerwa w wydawaniu „Sztubaka” spowodowana zmianą redakcji wywołała wśród licznych Czytelników naszego pisma pewne zaniepokojenie, świadczące zresztą o sympatji, jaką zdobył sobie „Sztubak”. Ze wsząd posypały się pytania: „Co się stało?” Czy „Sztubak” już nie będzie wychodził?” „Dlaczego?”*

*Obejmując w spuściznie po starych, zmęczonych już długoletnią pracą na ławie szkolnej i niwie uczniowsko-społecznej redaktorach prowadzenie pisma i zarazem rozpoczynając rok trzeci wydawnictwa tegoż, starać się będziemy utrzymać nadal beztroski, tętniący siłą i młodością jego charakter. Nie znaczy to bynajmniej, byśmy mieli zaniedbać poważniejsze sprawy życia uczniowskiego; owszem, będziemy je poruszać często, jednak nie w formie zjadliwych, starczych krytyk. Zasadniczo jednak pragniemy wydobywać na jaw najpiękniejsze, radosne chwile naszego życia, momenty zaś przykrości doznanych ubierać w słowa, które zmuszą nas spoglądać na wszelkie smutki przez pryzmat młodzieńczego zapału.*

*Witamy Was, Czytelnicy, na progu nowego roku szkolnego i życzymy ochoty do pracy i pomyślnego jej wyniku!*

*Ś.p. Michalina Mościcka*

*Dnia 18 ub. m. została się z tym światem małżonka p. Prezydenta Rzeczypospolitej ś.p. Michalina Mościcka. Cios, jaki dotknął p. Prezydenta, zabierając Mu Jego wierną towarzyszkę życia, odbił się echem głębokiego współczucia w całym społeczeństwie polskiem. I serca*

młodzieży także nie pozostały. głuche na boleść swego najlepszego Przyjaciela i Opiekuna i zabiły żywiej tętnem szczerego współczucia i współbólu na wiadomość o tem nieszczęściu. W ś. p. Michałynie Mościckiej traci społeczeństwo polskie Jedną z tych, co nie dla siebie żyli i nie dla siebie pracowali, a siły swoje i zdolności poświęcali dla drugich, a młodzież polska — jednego z najlepszych i najszczęśliwszych przyjaciół. Cześć Jej świetlanej pamięci!

Redakcja.

Tadeusz Pniewski.

## Bohaterom przestworzy

Na skrzydłach stalowych ponieśliście polską chwałę w świat. Warkotem polskiego silnika obce napełniliście rubieże. Chmury i błękity były wam towarzyszami. Płynęliście z dumnie podniesionem czołem, a Orzeł Biały roztaczał swe przepotężne skrzydła nad Wami i prowadził świetlistą drogą zwycięstwa. Mężnie stawiliście czoło twardym i podstępnyom olbrzymom alpejskim! Niczem dla Was była rozpostarta i głucha przestrzeń bez końca i obca ziemia, czychająca jeno, by grobem się stać polskiej chwały. Lecz Orzeł Biały, co czuwał nad Wami nie dał Wam wydrzeć zwycięstwa.

Na obcej ziemi, wśród wrogów naszych zatrzępotały w powietrzu dźwięki mazurka Dąbrowskiego, a na falach eteru rozbrzmiała chwała polska, opłynęła ziemię całą, doszła do uszu rodaków i rozparła ich piersi radością i dumą.

Niedawno jeszcze Polska cała składała Wam hołd, Bohaterzy!

A dzisiaj?

Łzę boleści zrosiła Wasze ciche trumny, przykryła kobiercem kwiecica i ciężką żałobą spowiła Swe doniedawna radosne oblicze. Hojną nam zostawiliście spuściznę! Wasza miłość Ojczyzny, która parła Was do zwycięstwa, testamentem będzie naszym — młodzieży polskiej, czyny zaś Wasze pozostaną niby klejnoty bezcenne w sanktuarjum Ojczyzny. Cześć Wam, niezłomni Bohaterzy! Pamięć o Was nigdy nie zaginie w sercach młodzieży polskiej, która u stóp trumien Waszych przysięga kochać Ojczyznę tak, jak Wy Ją kochaliście!

## Frontem ku morzu

Motto: Idą czasy, których zamienieniem  
będzie wyścig pracy na morzu.

Od wieków szumi Bałtyk, spryskując pianą lechickie wybrzeże. Lecz napróżno przez lat tyle pieściły fale polską ziemię. Spiew morza nie potrafił oczarować serc Polaków.

Nie rozumieli przodkowie nasi czym jest morze. Domatorską naturę Polaka ciągnęły więcej żyzne stepy wschodu. Zignorowano Bałtyk, twierdząc, że: „Może nie wiedzieć Polak, co morze, gdy pilnie orze!”

A siwy Bałtyk, morski władka, lasił się dalej, zarzucając słone wydmy złotawym, słonecznym bursztynem. Nie zrozumieli próśb morza polscy królowie — nie pokochali go.

Dopiero Jagiellonowie zwrócili nań uwagę. Wymagały tego ich interesy. Budowano dorywczo okręty wojenne, zwyciężano sąsiadów nadbałtyckich i znowu zaniedbywano sprawę morza. Nigdy flota polska nie miała stałego charakteru i to był największy błąd ówczesnych kierowników państwa. Nie doceniano znaczenia dostępu do morza.

A kto wie, czy utracilibyśmy zdobycze nadbałtyckie, a później niepodległość, gdyby okręty nasze roznosiły imię Polski po morzach całego świata. Kto wie, czy nie stalibyśmy się najbogatszym narodem Europy. Mielibyśmy do tego wszelkie dane, prócz — okrętów.

Przyszedł czas niewoli, czas szukania winnych... czas bohater-skich zmagania. Męką odkupiono grzechy narodu. Krew męczenników użyźniała polskie łany aż powstał z nich Wódz. Za Nim szły: Praca, Zwycięstwo i Wolność!

Lecz nie wszystko wróciło do dawnych dziedziców. Ślady naszych wiekowych zmagania na wschodnich rubieżach, rozsypały się w pył. Posiadamy natomiast wybrzeże. Resztki dawnych posiadłości, wykrajane ze słowiańskiego cmentarzyska — ale posiadamy!

W szum fal, wdarły się jakieś dziwne, niesłyszane od wieków, a jednak znane niegdyś odgłosy — dźwięki mowy polskiej. Załotały flagi narodowe.

Jednocześnie oczy całej Polski zwróciły się ku temu skrawkowi wybrzeża, który jednak otwiera przed nami tak szerokie horyzonty.

I nareszcie, po latach tyłu... popłynęło od Karpat do Gdyni potężne wołanie: Budujmy Polskę na morzu!

Spojrzano wstecz, do historii i zrozumiano błędy praojców,

Dzieje narodów mówiły aż nadto wyraźnie o znaczeniu dostępu do morza w życiu gospodarczym i politycznym państw.

Narody morskie panowały nad światem — zgasła natomiast gwiazda „Boga wojny” — Napoleona, bo nie doceniał należycie znaczenia władztwa morskiego. Czem jest brak dostępu do morza, silnej floty handlowej i wojennej, przekonał się podczas wojny

bolszewickiej, gdy „życzliwi“ sąsiedzi nie dopuszczali transportów wojennych.

Zadne państwo w dobie obecnej nie jest samowystarczalne i w razie braku dostępu do morza, jest w czasie wojny skazane na łaskę sąsiadów. Przestaliśmy nareszcie traktować dorywczo sprawy, które wymagają stałego wysiłku.

Rozpoczął się wyścig pracy na morzu. Powstało z zapadłej rybackiej wioszczyzny dziecię Polski Odrodzonej — Gdynia. W przeciągu lat kilku wzniesiono nowoczesny port, który jest dla świata sprawdzianem naszej potęgi twórczej, dowodem dążności do niezależności ekonomicznej, wskaźnikiem parcia ku morzu, straconemu przez nieświadomość przadziadów. Młody port stał się perłą miast polskich. Dzięki Gdyni pozostają w Polsce sumy wielomiljonowe, które musielibyśmy wydać w obcym porcie. Dzięki Gdyni nie korzystamy z owoców swej pracy połowicznie. 60% naszego eksportu i importu przypada na morze. Obrót roczny Gdyni wynosi już dzisiaj 12 milionów ton rocznie. Wielkim nakładem pracy i funduszy buduje się flotę wojenną i handlową. Już dzisiaj flota handlowa się z 46 jednostek o łącznej pojemności 66 tysięcy ton. Z dniem każdym umacnia się stanowisko Polski na morzu.

Otworzyliśmy drzwi do Europy.

Lecz czy postaraliśmy się o odpowiedni zamek do owych drzwi, strzegących naszych skarbów?

Powinniśmy stworzyć flotę wojenną, ów silny zamek.

Czyż 12 wojennych okrętów polskich o wyporności 4.600 ton możemy uważać za flotę, zdolną stawić czoło 115 jednostkom wojennej floty Niemiec? Zresztą zaledwie 5 naszych jednostek jest zdolnych do otwartej walki. Reszta to graty, które się niewiadomo dlaczego nazywają kanonierkami i torpedowcami. Wymowa cyfr jest najbardziej przekonującym argumentem. Powinniśmy zwrócić bacniejszą uwagę na ów zagrożony posterunek. Same państwo nie jest w stanie zbudować potęgi na morzu. Musimy dopomóc my — młodzież. Nie trzeba zapominać, że ofiarność społeczeństwa to uśpiona potęga. Weźmy przykład od wrogów naszych — Niemców. Wszak jeszcze niedawno połączone floty Danji i Austriji pobiły Prusaków na morzu Północnem. Było to gorzkie doświadczenie, lecz zarazem nauka, która najłatwiej trafia do serca. Po pewnym czasie — przeważnie z ofiar społeczeństwa powstała potężna flota wojenna, która się oparła nawet potędze Anglii (Skagerrak).

Czyż nienawistni nam sąsiedzi mają się okazać lepszymi synami i obywatelami swej ojczyzny? Czyż dopiero gdy przemówią armaty niemieckich pancerników, zaczniemy budować okręty wojenne? Tak — będzie jak zwykle, mądry Polak po szkodzie. Posypią się ofiary, gdy strach zajrzy w oczy. Lecz wtedy będzie za późno. Mineły czasy, gdy można było wystawić flotę na poczekaniu. A teraz porachujmy się z naszym sumieniem i powiedzmy cośmy dotychczas zrobili dla tej sprawy. Pod wrażeniem chwili zawrzało w uśpionych sercach, posypały się składki na łódź podwodną, jako odpowiedź Treviranusowi. Jednak Polak pozostaje i tym razem sobą.

Rozdmuchane iskry zapalu, zapłonęły wielkim ogniem, który zgasł jeszcze szybciej, niż powstał.

Albowiem był to ów polski — słomiany ogień. Były i inne wybuchy chwilowego patriotyzmu. Spełniały swe zadania tylko propagandowo, moralnie. Powtórzyła się dawna historia. Chciano budować dorywczo. Już czas z tem skończyć. Bądźmy rozsądni, budujmy planowo, wytrwale. Nie róbmy jednorazowych zbiorów, lecz zaprzęgniemy się do żmudnej pracy, obliczonej na lata całe. Koledzy! Przyszłość Polski jest w nas, inicjatywa i czyn powinny wyjść od nas!

Pokażmy, że umiemy się wziąć do pracy z zapalem — bośmy młodzi; pokażmy, że umiemy pracować wytrwale, bo stanęliśmy na wysokości zadania, które na nas włożyła miłość Ojczyzny!

Nie potrzebowałibyśmy się obawiać o nasze — odwieczne nasze morze — gdyby choć trzecia część ludności opodatkowała się sumą 1 złotego miesięcznie, na rozbudowę floty wojennej. Lecz to nie leży w naszych siłach. My możemy zachęcić tylko przykładem. Gdyby cała ucząca się młodzież polska, opodatkowała się jakąś dowolną lecz wpłacaną regularnie sumą, to rok rocznie wpływałoby na fundusz marynarki wojennej kilka milionów złotych. A co by było gdyby każda szkoła na terenie R. P. wzięła sobie za obowiązek urządzić choć jedną imprezę rocznie na wymieniony wyżej cel.

Co rok ofiarowywalibyśmy Polsce wojenny okręt. My biedni sztabacy pokazalibyśmy, że czuwamy na zagrożonym, zda się straconym posterunku. Przykład nasz zmusiłby starsze społeczeństwo do kroczenia naszym śladem i nic by już nie rozerwało Polski z Bałtykiem.

Lecz przestańmy marzyć — porzućmy werbalizm, a wprowadźmy słowa w czyn twórczy.

Nie tłumaczmy się kryzysem — nawet najbiedniejszy z nas wydaje pewne sumy bezużytecznie. W każdej szkole powinien powstać komitet, któryby się zajął propagandą i zbieraniem ofiar i pamiętajcie, że: „hańba kto uśnie, kto swej nie spełni ofiary“.

Jerzy Koźmiński.

## *Słońce i wino*

*Smagłe i zdrowe ciało w jasnym słońcu pławie,  
Muskuly drżą i błyszczą przed skokiem do wody;  
I już się stałem sam jak rwąca woda prawie...  
O, płynąć zawsze w słońcu, czuć się wiecznie młodym!*

*Na chwilę znikły smutki romantycznie łzawe,  
Miarowo serce bije radosny rytm czynu,  
Gdzieś w górze czują słońce, pod stopami trawę,  
Krew tętni i musuje niby mocne wino!*

# Na mych gwizdzących ust koralu...

Artykuł programowy

Starożytnym zwyczajem umieszcza się na początku nowej ery wydawniczej „Sztubaka“, nowy artykuł programowy. Bo jako pismo niepokojąco żywotne i od wieków nader udalnie potykające się na większych lub mniejszych plajtach swych... większych lub mniejszych dłużniczek (— paniom pierwszeństwo! —) i dłużników, „Sztubak“ niema programu ukutego na wieczność, co niejako jest okolicznością łagodzącą i zmniejsza winę jego Redaktorów...

Bo wyobraźcie sobie, moi państwo, co to byłby za skandal, gdyby przez kilka lat zrzędu „Sztubak“ był ten sam?... Mnie osobiście na samą myśl o tem włosy ze zgrozy powstają na głowie.

Na szczęście, „Sztubak“ idzie po innej linii. To znaczy, nie idzie po żadnej linii. Pierwszy jego rocznik był erotyczno-humorystyczno-szyderski, drugi zaś — sensacyjno-filozoficzno-polemiczny. A trzeci... wylania się teraz straszliwe pytanie: jaki będzie trzeci rocznik „Sztubaka“? — Odpowie na to... „historja“! A odpowiedzą za to Redaktorzy, dla których przewiduje się tylko jedną nagrodę i karę: śmierć na rękach rozentuzjanzmowanego ludu.

Mem zdaniem, „Sztubak“ winien być takim, jaka jest młodzież. Bo w tem leży jego najwyższa wartość i powodzenie.

W tej myśli podaje 5 następujących przykazań dla tych, z którymi „Sztubak“ się będzie porał i którzy będą się porali ze „Sztubakiem“. Pamiętajcie, że:

1. „Sztubak“ nigdy i nikomu nie mówi komplementów, a specjalnie — białogłowom, bo to łatwo przemienia je w pustogłowy.
2. Każda uczenica przykładnie miłuje „Sztubaka“ i nawzajem.
3. Przynajmniej raz w miesiącu, koło dnia pierwszego, należy wypowiedać się z długu wobec „Sztubaka“ i sumiennie uregulować należność.
4. Cała ucząca się młodzież gimnazjalna — to oczy i uszy Redaktorów „Sztubaka“.

5. Nie zawsze należy pisać, co się wie, ale zawsze należy wiedzieć, co się pisze do „Sztubaka“.

O tych pięciu przykazaniach należy pamiętać zawsze, tak w stanie przytomnym, jak i nieprzytomnym, a za skutek nagły i nadspodziewany — ręczę.

Dan w Kaliszu  
We wrześniu rb.

Włas.

---

*Koledzy! Od 1-go do 9-go października IX Tydzień L. O. P. P. Pamiętajcie, że przyszłość Polski — to silne lotnictwo. Składajcie choćby najdrobniejsze datki na L. O. P. P., a spełnicie choć w części przysłane obywatelskie zadanie.*

---



## Płonąca granica

Fragment

— Za rok, za dzień, za chwilę...

Zachodnia strona ulicy rzucała fioletowy cień, który obejmował jezdnię i chodniki, a potem pisał się niestrudzenie w górę i gasił płonące złotem okna. Na ulicach panowało wielkie ożywienie. Niespodziewany upał trzymał przez cały dzień wszystkich w domach i miejscach cienistych. Przedwieczorny chłodek zachęcał do spaceru. Ludzie żądni byli nowych wieści, które niewiadomo skąd — szybowały wszędzie, jak czarne kruki i, jak czarne kruki, siały niepokój.

Napozór jednak wszystko w mieście szło zwyczajnym trybem. Jeźdźnią przesuwały się turkotliwie wozy, klekotały kopyta szkap doróżkarskich, brzęczały dyskretnie motory samochodów, dźwięczały dzwonki i trąbiły klaksony.

Chodnikami przelewał się gwarliwy tłum spacerowiczów, przez których z trudnością przeciskali się zapóźnieni interesanci. Dozorcy z filozoficznym spokojem polewali wodą z konewek kamienne kostki tudzież nogi przechodniów. Padały uwagi, krzyżowały się w powietrzu dowcipy, tryskały śmiechy. Bystry obserwator spostrzegłby jednak w tem wszystkim pewną sztuczność. A odważny obserwator, któryby zbliżył się do rajcujących na progach kumoszek, zauważyłby bez trudu, że przedmiot ich rozmów jest taki sam na pryncypalnych ulicach, jak na peryferjach miasta. I nie potrzebowałby zakładać czapki-niewidki, ażeby stwierdzić, że rozmawiają o „tem“ wszyscy spacerowicze...

— Imek! Ty coś kryjesz przede mną! — zwróciła się do swego towarzysza Ira, patrząc mu bystro w oczy.

— Ależ, kochana! Tak ci się zdaje. Nic nie kryję, tylko...

— Tylko?

— Tylko... intryguje mnie, dlaczego od kilku dni panuje wszędzie takie jakieś... niedomówienie: milczą gazety, milczy radio, a tymczasem władze wojskowe kompletują pułki. W powietrzu wi-si mobilizacja, a tymczasem ludziska postaremu chodzą do kina, śmieją się z głupich kawałów, ot... spacerują bez celu, jako i my— roześmiał się nieszczercze.

— Ech, dzieciństwo... przywidzenie! — odparła energiczna Ira, nastrojona optymistycznie pod wpływem doskonałego podwieczorku — Przyznaj się, że ten uniwersał rozstroił ci jednak porządnie nerwy.

Świeżo upieczony magister prawa mruknął pod nosem coś, co mogło równie dobrze być wzięte za przytwierdzenie, jak zaprzeczenie, a ucepiona u jego ramienia Irka nadużywała wprost swych przywilejów narzeczeńskich i szczebiotała bez przerwy:

— Wam się wszystkim zdaje, że to może być wojna... A jest to tak niemożliwe, jak... 2 a 2 to 5!... Przestań się śmiać, bo... dostaniesz!... Przecież dopiero przed miesiącem Liga Narodów... no nie przerywaj!... Liga opublikowała traktat potępiający wojnę i zabraniający surowo używania gazów w celach militarnych... dobrze

powiedziała?... w celach militarnych!... Jak Liga Narodów tak głosi, to czego mamy się obawiać?...

— Że jest to największe i najperfidniejsze kłamstwo w dziejach świata! — odparł poważnie.

— Ech! — żachnęła się Ira, a czując, że Imek ma w gruncie rzeczy rację, po kobiecemu, z punktu przycięła mu: — Nieznośny jesteś z tym pesymizmem. To dobre na fotelu prokuratorским, za kratkami sądowymi, lecz nie w życiu. Jest przecież w duszach ludzkich granica, której nikomu, a tembardziej narodowi, nie wolno przekroczyć, bo... bo — zachłysnęła się, gdyż Imek ścisnął ją nerwowo za rękę i przystanął.

— Patrz, Iruś! Coś nadzwyczajnego!...

Przystanął także inni. Na kilka minut ustał zupełnie ruch na ulicy. Wszyscy zadarli głowy do góry. Na szarzącym, perłowym niebie wstawała na wschodzie zorza czerwona i obejmowała niebo niesamowitym blaskiem. Robiło to wrażenie, jakby zachodzące na jednym krańcu słońce wstawało na drugim. Snuto rozmaite przypuszczenia. Lecz nikomu nie przyszło na myśl, że są to graniczne sygnały świetlne, założone niedawno w najgłębszej tajemnicy, a mające na celu zaalarmować gospodarzy kraju o zbliżaniu się nieproszonych gości.

Nagle jakby prąd zgalwanizował zmartwiałe tłumy. Megafony, umieszczone na gmachu teatru, ratusza i wieżach kościelnych, poczęły głosić kilka prostych słów, przerażających w swej straszliwej grozie.

— Baczość!... Zachować spokój!... Za chwilę nastąpi atak gazowy, lotniczy na nasze miasto... Wszyscy do schronów i do piwnic!... Przygotować maski gazowe!... Zachować spokój!...

Rozdzierający ryk syren fabrycznych zmieszał się z krzykami, nawoływaniem i przekleństwami oszałego w jednej chwili tłumy, który parł na wsze strony, tratował i obalał wszystko, co stało na przeszkodzie.

Spokojne miasto stało się piekłem. Setki kobiet mdlało. Niektórzy ludzie stali w miejscu, dając się popychać na wsze strony i patrząc ostupiałym wzrokiem przed siebie. Jakaś matka rozpaczliwie wołała: — Janek, Janek — lecz krzyk jej ginął w rozgardzaju. Jakieś dziecko dostało się pod koła samochodu i leżało na jezdni okropnie zmasakrowane, deptane i tratowane bez litości...

Imek, torując sobie pięścią i łokciami drogę, dotarł wreszcie z przestraszoną i oszołomioną towarzyszką do domu. Dozorca, z twarzą zrobiełoną i trzęsącymi się rękoma, próbował bezskutecznie zamknąć drzwi na klucz. A już zdaleka dolatywało głuche, lecz coraz wyraźniejsze brzęczenie, jakby roju wściekłych os. Nie było widać samolotów, tylko ogromną, brązowo-żółtą chmurę, która wyrosła z drobnego punkciku na płonącym niebie i nieubłaganie zbliżała się do miasta. Na tle płonącej w oddali, niewidocznej granicy, zostawiała długie smugi dymów, które wyglądały, jak bezkształtne upiorne macki pędzącej w apokaliptycznym pędzie śmierci.

Imek z ulgą zatrzasnął ciężkie wierzaje za drżąca i przestra-

szoną Irką, która ze wzruszenia nie mogła słowa wykrztusić. Dozorca spojrział z trwogą na młodą parę i wyszeptał zbielełymi wargami:

— Panie! Co z nami będzie?

— Co Bóg da! odparł poważnie Imek.

W tejsze chwili — zadygotały mury i powietrzem targnął huk potężny...

Manas Kott.

## „Jak to na wojence ładnie”

*Poszli.*

*Do ziemi przymurowany krok w duszy mrok  
i dłoń zrosnięta z karabinem.*

*Musieli światu wykazać czynem  
że są — że idą — że chcą:  
bagnetem kłuć i pruć*

*truć gazem i razem gnąć — —  
Z warsztatów — z gimnazjów.*

*Wiadomo: w kazarmach  
przechowuje się mięso dla armat.*

*Czy chcieli żyć? — Czy chcieli!*

*Kule trzeba kłaść karabinom do żelaznych gardzieli,  
bagnetem tylko żgać — umieli to na pamięć.*

*W kanonad rozdygotanej gamie  
wśród gładania armat - kwok*

*wśród karabinów jazgotu  
trudno usłyszeć konających krzyk*

*jedyna pieśń — to armat ryk,*

*to skowyt kulomiotów —*

*tam jeden ruch, tam jeden krok*

*— to śmierć.*

*Nabijaj, celuj, pal — a potem wal*

*bagnetem w brzuch,*

*zobaczysz co jest w środku —*

*tam jeden krok, tam jeden ruch*

*— to śmierć.*

*Przebijaj i wywlekaj z piersi bijące serce*

*i patrz, jak krwawi, jak drga, jak żyje —*

*nikt nie powie żeś morderca —*

*ten szlachetny, kto dobrze bije!*

*Mózgi bagnetem przecinaj*

*i miażdż kolbą karabina —*

*to może — jeśli sam z rozplatanym padniesz czerepem —*

*na grobie „nieznanego żołnierza” zawieszą czarną krepe,*

*to może — jeśli z krwawej jatki ludzkiej cudem*

*wrócić ci się uda —*

*obłądny i pijany zwycięskim mordem*

*z rąk pana generała weźmiesz cudny order.*

## Prawo wojny

Gończy dzień krwawego lata dwudziestego roku chylił się zwolna ku wieczorowi.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetlały czerwonym blaskiem zbitą grupkę drzew i załamywały się na szczytanych, słomianych dachach niewielkiej wioski.

Zdaleka, od strony czarnej ściany lasu dolatywały co pewien czas odgłosy budzącego się nocnego życia i poszumy lekkiego, zachodniego wiatru; nic więcej nie zdawało się mącić wieczornej ciszy małej wioszczyny. Tylko poprzewracane gdzieś niegdzie płyty i czerniejące zdaleka, niedopalone resztki zabudowań, świadczyły o grasującym tu niedawno pożarze wojny.

Na małym placyku, okalającym wiejski kościółek, widać było jakieś wozy i parę rzędów, poustawianych w kozły, karabinów. Niedaleko nich, na niewielkim skrawku murawy, odpoczywało kilkudziesięciu zmizerowanych i zakurzonych żołnierzy. Na ich młodych ale zbiedzonych twarzach, widać było wyczerpanie i apatię. Wszyscy zdawali się być pogrążeni w jakimś chorobliwym półśnie, spowodowanym nadludzkim wysiłkiem pośpiesznego, odwrotnego marszu.

Nagle ciszę wieczoru przerwał krótki, urywany huk, jak gdyby salwa kilkunastu karabinów. Żołnierze poderwali się na moment; ten i ów instynktownie chwycił za broń, ale po chwili znowu zapanował spokój, tylko twarze leżących wyrażały jakąś wewnętrzną zgrzyotę i ból. Na ganku plebanji ukazała się niepozorna postać młodego oficera. Żołnierze jakby z wyrzutem skierowali wzrok w jego stronę. Lecz i na jego twarzy malował się ten sam wyraz przygnębienia i boleści, jakgdyby myśli jego zbiegały się z myśłami podwładnych.

Opuścił smutnie głowę i zwrócił się w kierunku zabudowań, od których doleciał go miarowy odgłos kroków maszerującego oddziału.

Z poza stodoły wyłoniło się pięć czwórek uzbrojonych żołnierzy, prowadzonych przez niewysokiego, barczystego podoficera o niesympatycznej, ponurej twarzy. Na widok tej zamarłej maski i bezwzględного, okrutnego wyrazu oczu, twarz oficera spochmurnała, a dolna szczęka poczęła mu drgać nerwowo. Postać ta przywiodła mu na pamięć cały szereg wypadków ostatnich tygodni. Przed oczyma stały mu jak żywe postacie jego nieszczęśliwych żołnierzy, dla których ukazanie się tej ponurej twarzy było niejednokrotnie wyrokiem śmierci.

Już od dłuższego czasu w regularne i jednostajne życie kompanji począł się wkradać jakiś niezrozumiały początkowo strach i zamęt. Nie było prawie dnia, żeby nie przyprowadzono z placówki żołnierza, oskarżonego o niesumienne spełnianie obowiązków wartownika. Pozornie wypadek taki nie byłby niczem nadzwyczajnem, biorąc pod uwagę krańcowe wyczerpanie żołnierzy,

gdyby nie tajemnicze okoliczności, towarzyszące tym przestępstwom. Oto za każdym razem w winowajcy konstatowano brak zamka, czego tenże w żaden sposób nie umiał wytłumaczyć. Przemęczony forsownym marszem zasypiał prawie bezwiednie i dopiero odgłos kroków zbliżającego się, domniemanego nieprzyjaciela przywracał mu świadomość. Gorączkowo chwycił za broń i głosem zapytaniem o hasło starał się zatrzymać przeciwnika. Lecz ten zbliżał się w milczeniu, jak gdyby nie zwracał uwagi na groźby i ostrzeżenia. Żołnierzowi nie pozostawało nic innego jak użyć broni i wtedy z przerażeniem spostrzegł brak zamka, a brak jego oznaczał śmierć...

Kapitan wzdygnął się.

Mimo całej ohydy postępowania sierżanta, którego podstępny był mu doskonale znane, nie można mu było zarzucić przekraczania okrutnego miaru, ale jednakowego dla wszystkich prawa wojny. Kapitan dobrze wiedział, że gdyby raz tylko puścić płazem niesubordynację żołnierza, to już na drugi dzień spałyby na placówkach dziesiątki i setki jego towarzyszy, a przecież od ich czujności zależy niejednokrotnie życie całych tysięcy, a często losy kompanji spoczywają w ręku jednego tylko, szarego, prostego żołnierza. A jednak, mimo całej logiki tego rozumowania, kapitan instynktownie czuł, że dzieje się źle. Cóż winni ci biedni, młodzi chłopcy, którym tylko umiłowanie rodzinnego kraju kazało rzucić ciepłe ognisko domowe, chwycić za broń i stanąć w szeregu, ażeby murem własnych piersi zagrozić drogę nieprzyjacielowi. Czyż można winić słabego, siedemnastoletniego chłopca, który przemęczony trudami wojennymi, nie zdoła opanować ogarniającego go snu? Bezwątpienia prawa są konieczne i należy je przestrzegać, ale trzeba je przecież stosować po ludzku. Można, a nawet trzeba być sprawiedliwym, ale nie okrutnym.

Kapitan westchnął ciężko i wolnym krokiem skierował się w stronę ganku.

Tymczasem placyk począł się zwolna opróżniać. Część żołnierzy myła menażki, przygotowując się do posiłku, inni czyścili broń lub naprawiali ubranie, reszta gawędziła z cicha, rzucając co chwila niecierpliwie spojrzenia w stronę nawpół rozwalonej szopy, gdzie mieściła się prowizoryczna wartownia. W szopie tymczasem wrzała gorączkowa praca. Kilkunastu uzbrojonych żołnierzy kończyło ostatnie przygotowania przed raportem, który miał ich odprawić na nocne stanowiska obozowych czat.

Odrazu dało się zauważyć, że całą grupę ogarnia jakieś nie-naturalne, nerwowe podniecenie. Co chwila ten i ów odrywał się od pracy i rzucał szybkie, pytające spojrzenie na wysokiego, szczupłego żołnierza, który zaszył się w kącie izby i oparłszy głowę na rękę, wpatrywał się zamyślnym wzrokiem w otwarte do połowy drzwi.

— No co Władek, dobrałeś? — ozwał się jakiś przyciszony głos.

— Wszystko w porządku — odparł tamten z zimnym błyskiem oczu i pokazał niewielki, lśniący przedmiot, który do połowy ukrywał w rękawie.

W drzwiach ukazała się ponura twarz sierżanta.

— No — czas na was. Stawać na zbiórkę, bo kapitan idzie. Władek błyskawicznie schował tajemniczy przedmiot do kieszeni i z obojętną miną ruszył ku drzwiom wraz z resztą kolegów.

Stał oparty o pień starego, rozłożystego drzewa, kurczowo ściskając w rękę karabin i z natężoną uwagą wpatrując się w otaczające go ciemności. Naprzeciw niego rozciągała się niewielka, leśna polana, na którą księżyc rzucał swe spokojne, bladawe światło, spowijając ją jakimś nieuchwytnym nimbem tajemniczości i grozy. W powietrzu panowała niezmacona cisza tak, że słychać było najlżejszy szmer i oto w ciszy tej Władek posłyszał nagle jakieś niewyraźne szmery i odgłosy, jak gdyby powolne kroki skradającego się człowieka. Wyteżył wzrok i po chwili ujrzał na skraju polany skurczoną postać ludzką, zbliżającą się doń kociemi krokami.

Przywarł do drzewa i z zapartym oddechem śledził pilnie poruszenia tajemniczej postaci. Cicho odłożył karabin i oparł głowę o pień drzewa, jakgdyby zasypiał.

Tymczasem postać podeszła zupełnie blisko. Słaby promień księżycy oświetlił na moment jej twarz i z mroku wyłoniła się ponura maska starego sierżanta. Chwilę stał bez ruchu, a potem z djabelskim uśmiechem sięgnął po karabin i po cichu wyciągał zeń zamek. Ostrożnie i bez szelestu oddalił się jak tylko mógł najciszej.

Władek stał nadal bez ruchu jak skamieniały i tylko jego przespieszony oddech świadczył o doznaniem wrażeniu.

Stał tak może ze dwadzieścia minut i już sen począł kleić mu powieki, gdy nagle znowu usłyszał podejrzany szelest, jakby czyjeś kroki.

— Stój! Kto idzie? — rzucił twardo, przenikliwie wpatrując się w otaczające go mroki.

Cisza.... Tylko kroki stały się nieco szybsze, a w powietrzu zadrgał jakby tłumiony rechot śmiechu.

— Stój, bo strzelam! — powtórzył jeszcze raz i mocniej ścisnął łożo karabinu.

I tym razem nie otrzymał odpowiedzi, a z mroków nocy wyłoniła się dobrze mu znana postać sierżanta. Dzielili ich zaledwie parę kroków. Przeciwnik stał śmiało, a jego twarz oświetlona promieniem księżycy wykrzywiła się skurczem ironicznego uśmiechu.

Nagle ciszę nocy przerwał złowieszczy zgrzyt zamka.

Postać starego żołdaka skurczyła się raptownie. Przez jego spokojny dotąd umysł przebiegła szybka jak błyskawica myśl. — podstęp!

Uczuł wyraźnie, że oto teraz nadeszła godzina, w której trzeba będzie zdać rachunek ze swoich ostatnich czynów. Nieublagany los, z którym tak długo igrał, porwał i jego w swe szpony. I nagle on, który bez zmruczenia oka posyłał na śmierć swych żołnierzy, uczuł, że zimny pot strachu poczyna mu ściekać po twarzy.

— Stój! stój! to... ja... wasz....

Padł krótki, bezlitosny strzał.

Ciało sierżanta drgnęło, skurczyło się i zwało się na miękkie, wilgotne mchy.....

Wokoło panowała niezmacona cisza. Tylko blade księżyc rzucał snopy swego zamarłego, fosforycznego światła na polanę i oświetlał drgającego jeszcze trupa, który czernił się zdala, jak widoczny, krwawy symbol bezlitosnego wprowadzie ale jakżeż sprawiedliwego dla wszystkich prawa wojny.

A. Braude.

## Moment

*Był jakiś dziwny moment... Poszeptem liścianym  
wiatr się sprzeczał z błędzącym nad drzewami Bogiem;  
w powietrzu chodził cień mój drżący i pijany,  
który zgubiłem wtedy, tam na twoim progu.*

*Na ścieżce były ślady, ślady drobnej stopy,  
biegnące w dal trawników, obce i nieznanne,  
w milczeniu beznadziejnym, płaczące się z sobą,  
jak słowa moje, wtedy niewypowiedziane.*

*Dziwna to była chwila w milczącym ogrodzie,  
w przerażeniu, co legło w zwicrzzonej murawie  
— ostry jak strzała, nagły błysk światła na wodzie  
i krzyk bolesny w krzakach bezsennego pawia.*

*Poszedłem po Twych śladach, sznurem melancholji  
rozciągniętych na ścieżce od krzaka do krzaka,  
i dziwnie jakoś było, że nic już nie boli,  
że zamilkł krzyk szalony bezsennego ptaka.*

Tadeusz Pniewski

## Rozmowa z mistrzynią świata

Oryginalny wywiad z Jadwigą Wajsówną specjalnie dla „Sztubaka“

Iście dziennikarskich trzeba było przygód, by móc rozmawiać osobiście z Wajsówną, startującą na zawodach lekkoatletycznych Kalisz—Pabjanice na stadionie kaliskim.

Miałem w kieszeni 30 gr. i rozmyślałem nad sposobem dostania się na boisko, gdzie otoczona rojem wielbicieli, rozsyłała na wszystkie strony swe słoneczne uśmiechy niezwykle sympatyczna Jadwiga Wajsówna, chluba naszego sportu.

Cóż mogłem zdziałać z mojami 30 groszami?..

Przedewszystkiem zakupiłem za nie jeden bilet wejściowy.

Jak tu teraz dostać się do trybuny?

Ale od czego głowa na karku!... Dobrze mi znajomy zawodnik wprowadza mnie tam „na słonia“ i wkrótce znajduję się na boisku. No! Co gorsze minęło!

Na moją prośbę p. prof. Baworowski przedstawia mnie Wajsownie jako redaktora „Sztubaka“.

Jakież było moje zdumienie, gdy okazało się, że mistrzyni świata nie był obcy „Sztubak“!!!

— Wpadł mi kiedyś do ręki jeden egzemplarz w Pabjanicach, w tamtejszym gimnazjum — ze śmiechem trzepotała, widząc moje zdziwienie.

— Pozwoli Pani, że ośmielę się niepokoić Ją kilku pytaniami?...

— Ależ proszę bardzo, z przyjemnością! — uśmiechnęła się zachęcająco nasza mistrzyni.

— Przedewszystkiem jak się Pani podoba Kalisz?

— W Kaliszu jestem poraz pierwszy i muszę przyznać, że miasto jest bardzo ładne, nie mówiąc już o parku, którym jestem wprost zachwycona. Dużo zresztą już o nim słyszałam. No! Ale stadionem może się Kalisz naprawdę poszczycić! Coprawda rzutnia jest dość marna, ale naogół nie spodziewałam się w Kaliszu zobaczyć takiego stadionu!

— Bardzo mi to pochlebia, a jak Pani znajduje kaliskich zawodników?

— Owszem, bardzo sympatyczni i odznaczają się wysoką klasą sportową, no i ambicją...

— Pozwolę sobie zauważyć, że poważny procent między nimi stanowią sztubacy, np. ten, który obecnie robi pierwsze miejsce w skoku wdal, no i wielu innych...

— Wie pan, że zaraz na początku zauważyłam, że to są pewnie sztubacy; oni się wszędzie wyróżniają swoim złotym humorem, wszędzie wnoszą prawdziwą, beztroską wesołość i pogodny, swobodny nastrój. Muszę przyznać, że bardzo lubię społeczeństwo uczniowskie, a w Pabjanicach często bywałam na sztubackich zabawach i wieczorkach, gdzie bawiłam się świetnie!

— Rozpływam się z radości i wobec tego... ośmielę się zadać jeszcze jedno niedyskretne pytanie: Jak długo Pani uprawia sport?

— Ni mniej, ni więcej tylko cztery lata, stara już ze mnie panna!... No! tego nie widzę, a... wolno wiedzieć jakie wrażenie odniosła Pani z Ameryki?

— Naogół niekorzystne. Ameryka — to bardzo szary, jednostajny i monotony, jak tamtejsze budowle, kraj. Podobała mi się jedynie Kalifornia.

— Zawodniczki do skoku wzywają na start! — rozległ się tubal-



Jadwiga Wajsówna —  
„Sztubakowi“



ny głos sędziego i sympatyczna p. Jadzia rzuciwszy mi z pod rzęs roześmiane spojrzenie, furknęła w stronę skoczni.

— Przepraszam na chwilę, porozmawiamy jeszcze! — wykrzyknęła i wkrótce lekko i zręcznie przeszła ponad poprzeczką i, jak zwykle roześmiana zbliżyła się do mnie, z czego ja nieomieszkałem natychmiast skorzystać.

— Czy mógłbym Panią prosić, p. Jadziu, o autograf dla „Sztubaka“?

— Z przyjemnością — odparła wesoło milutką Jadzia i szybko nakreśliła kilka słów na przygotowanym przezemnie papierze.

— Bardzo dziękuję i rozmowę naszą postaram się możliwie jaknajwierniej oddać na łamach „Sztubaka“.

— Dobrze — tylko żebyście nie nabujali, podam wam swój adres i musicie mi przysłać ten numer „Sztubaka“.

— Z dziką rozkoszą!.. Jeszcze chwileczkę, p. Jadziu, czy zrobi mi Pani tę przjemność i pozwoli się ze mną i z mym przyjacielem „pstryknąć“? Obiektyw już czekał

Lecz obiektyw nie czekał na odpowiedź, bo w tej samej chwili rozległ się trzask aparatu i wywiad nasz uwiecznił się na kliszy fotograficznej.

— Żegnam, życzę nowych laurów na przyszłej olimpiadzie i bardzo bardzo dziękuję za rozmowę i autograf...

— Dowidzenia i proszę za pośrednictwem „Sztubaka“ przesłać serdeczne pozdrowienia odemnie dla kaliskiej „sztuby“!...

Józef Garliński

## Młodość

— Hallo Józek, chodźże do pioruna! Już pół godziny czekam na ciebie.

— Wolnego, wolnego. Już się robi, tylko jeszcze skończyć smarowanie.

Ostatni raz pojechałem dłońią po lśniącej powierzchni rozartowanych smarów, a następnie chwyciłem deski i zrzuciłem je z werandy w śnieg. Chwilę jeszcze biedziłem się nad włożeniem wiatrówki i odnależiem rękawiczek, ale ostatecznie znalazłem je i zbiegłem galopem ze schodów, ażeby nareszcie zaspokoić niecierpliwość Mietka.— Przywitaliśmy się serdecznie. Był to mój stały kompan i przyjaciel, bardzo sympatyczny i miły chłopiec. Wysoki, świetnie zbudowany mógł uchodzić za wzór zdrowia i tężyzny fizycznej.

W „budzie“ uważany był za najlepszego narciarza, co było zupełnie zrozumiałe, gdyż rzeczywiście jeździł pierwszorzędnie.

— No Józek, wkładaj dechy i dodajemy gazu, jak sto djabłów.

Ruszyliśmy. Chociaż na nartach jeździłem niezgorzej i tempo potrafiłem utrzymać, trudno mi było nadażyć za bajkowo „ciągnącym“ Mietkiem. W parę minut minęliśmy już ulicę Zamojskiego i wpadliśmy w lassek za potokiem. Jeszcze parę silnych odepchnięć

i wjechaliśmy na rozległą polanę, pociętą tu i ówdzie wąskimi, zamrzniętymi strugami i upstrzoną chuderlawami smreczkami.

Przed nami majaczyła groźna i przepaścista trasa skoczku. Olbrzymi, przeszło dwustometrowy pas wąskiego, stromego zjazdu, przecięty w górnej swej części poziomym pomostem i otoczony lasem drewnianych trybun, robił potężne wrażenie.

— Ty, Mietek; pewno skoczysz sobie ze dwa razy?

— Jak mi kto pożyczysz skokówek, to się pewnie coś niecoś „pociągnie“.

— Już ty się nic nie bój. Deski dostaniesz jak w banku. Dziś przecież jest trening zawodników.

— Ciekaw jestem czy będzie Norweg?

— No a coś ty myślał; od tego przecież jest trenerem.

— Niema co mówić; pokażesz mu klasę, że i samego Thamsa\*) zapomni.

— Daj ty spokój. Ściągaj lepiej deski, bo już skocznia i „tragaj“ się na górę.

Z nartami pod pachą pieliśmy się zwolna po nierównych i oblodzonych schodkach, kurczowo trzymając się chwiejnej poręczy. Na trybunach siedziała cała śmietanka zakopiańskiej braci narciarskiej; a wśród niej zdaleka już było widać okazałą postać barczy-stego Norwega.

— Hip, hip! Serwus Mietek — ozwały się liczne głosy.

— Czołem waćpanom czołem — odryknęliśmy zgodnym chórem. Dajcie no jakieś deski, bo Mietek chce bić rekord Krokwi.

— A, a, miło nam będzie zobaczyć. Pewnie jakieś 70 metrów?

— Co 70; 85 jak drut i ani metra mniej.

— No dość żartów. Deski stoją tam pod progiem; bierz które chcesz.

Mietek polazł po narty, a ja tymczasem wgramoliłem się na trybunę i nareszcie mogłem spokojnie odetchnąć po uciążliwej wspinaczce.

— Tempo, tempo chłopie. Skocz tylko fajnie, bo tu niebyle kto na ciebie patrzy.

— Jazda Mietek; tor wolny. Skacz.

Krótkim, urywanym ruchem skoczył na rozbieg i przykucnął, gotując się do odbicia. Zaskrzypiał zmarnięty śnieg...

Skok był, co się zowie, piękny. Mietek zawsze skakał dobrze, ale tym razem przeszedł samego siebie.

Ślicznym, spokojnym łukiem, nieprawdopodobnie wychylony przemknął przez powietrze i z głuchym stukiem nart o twarde zeskok wylądował na 55 metrze.

Widać było, że skok zrobił wrażenie. Stare wygi narciarskie z uznaniem kiwały głowami, a Norweg coś głośno bełkotał, czego jednak nie mogłem zrozumieć.

Nim się obejrzałem, Mietek już włąził po stromych schodach i śmiał się do nas wesoło, ukazując rząd białych zębów.

\*) Thams (Norwegja) ongiś najlepszy skoczek narciarski świata. Zwycięzca olimpiady w Chammonix.

— No, no Powinszować. Udało ci się niemo co mówić. Taki skok nie często się ogląda. Pewnie skaczesz jeszcze raz?

— Jakoś nie chce mi się włączyć. Ale wiesz co — zapalił się — chodź, zjedziemy tym klasycznym holwegiem,\*\*) co to go ci wczoraj pokazywałem.

Zmroziło mnie. Holweg był zabójczy i aż strach było na niego patrzeć. O siebie się nie bałem, ale ten warjat Mietek gotów był, naprawdę spróbować szaleńczej jazdy.

Dajże spokój chłopie. Wczoraj była odwilż; cały zjazd jest oblodzony. Nogi można połamać.

— Ale głupstwa gadasz. Jeżeli masz boja, to nie jedź. Sam odwalę szusa, że aż hej. Co warte życie bez krzty emocji. Nie było rady. Włożyłem narty i w ponurym nastroju zjechałem ze spadu, aż na sam dół.

Kilkadziesiąt kroków w lewo znajdował się ten przeklęty holweg. Niekrótszy od krokwi, ale jeszcze stromszy pas śniegu wił się przeróżnymi zygzakami pomiędzy gęstym, świerkowym lasem.

U dołu miał może ze 3 metry szerokości, ale wyżej nie miał miejscami i metra, co przy silnem oblodzeniu wytwarzało warunki prawie niemożliwe do pokonania.

Jasnym było, że upadek groził przynajmniej połamaniem nóg. Śmiejący się ciągle i dowcipkujący Mietek począł włączyć z wolna w górę, a ja pozostałem z innymi na dole, przeżywając gorzkie myśli.

— Hoopl tor. tor! — ryczał z góry Mietek.

Mimo woli zamknąłem oczy i starałem się nie słuchać odgłosów szalonego zjazdu.

Przemknął koło mnie jak wicher, zatrzymał się wspaniałą, zwaną christianją i począł się śmiać radośnie, beztrósco.

— No, dość już tego. Dziękuj Bogu, że tak szczęśliwie ci się udało. Walimy do domu.

— Czekaj, czekaj, masz czas. Jeszcze tylko raz zjadę, ale teraz z samej góry.

— Daj spokój warjacie; to śmierć!

Szkoda było słów. Mietek już windował się na górę.

Z bijącym sercem oczekiwałem końca tej szalonej rozgrywki z niebezpieczeństwem.

Mietek coś długo nie ruszał. Pewnie włąził jak najwyżej. W końcu doleciał mnie jego okrzyk i mignęła mu nad oczyma niebieska koszula...

Nagle rozległ się krótki, urywany krzyk; suchy, przejmujący trzask i cisza...

Jak opętany rzuciłem się w górę wraz z garstką przygodnych widzów. Bez tchu gnaliśmy po śliskim lodzie, potykając się i przewracając. Już z bliska doleciał nas cichy jęk. Jeszcze jeden nagły zakręt i oczy nasze uderzył straszny, grozą przejmujący widok. W kałuży krwi pławiła się bezkształtna masa ciała. Obdarte z kory drzewo wytłumaczyło nam wszystko. Biedny Mietek. Szalona siła pędu zniosła go po lodzie i rzuciła o drzewo. Całe nogi przedsta-

\*\*\*) Stromy zjazd wśród lasu.



wiały jedną krwawą, pokierszowaną masę. Z głowy sączyła się powoli krew i ściekała na biały całun śniegu...

Ostrożnie podnieśliśmy go i krok za krokiem schodziliśmy wśród grobowego milczenia. Ranny rzeził zcicha. Wydawało się, że godziny jego są już policzone.

Paru z obecnych pobiegło po sanki, a my tymczasem zrobiliśmy z nart i wiatrówek prowizoryczne nosze i złożyliśmy na nich nieszcześniełego.

Jak kondukt pogrzebowy, posuwaliśmy się zwolna ku miastu.

---

Szalenie silny organizm wytrzymał beznadziejną, zdawałoby się, walkę ze śmiercią. Po roku borykania się z ginącym życiem wyszedł Mietek ze szpitala.

Ale jakżesz zmieniony.

Pogruhotane kości nóg nie dały się już zestawić. Musiano go skrócić o parę centymetrów. Zgarbiony i przybity wydawał się jeszcze niższy i zmieniony. Głęboko zapadłe oczy świeciły jakimś nie-naturalnym, chorobliwym blaskiem. Chodzić mógł tylko z trudnością, opierając się na lasce.

Gdy po raz pierwszy zjawił się w gimnazjum, przywitaliśmy go jaknajserdeczniej i pozornie bez troski. Długo, długo ścisnąłem dłoń przyjaciela, którego tak dawno nie widziałem. Starłem się nie patrzeć w jego stronę, ażeby nie ujrzał łez w moich oczach.

Tak dawno oczekiwane jego przybycie teraz onieśmieliło nas i krępowało. Jakżesz trudno było prowadzić rozmowę, któraby nie przypominała mu kalectwa.

Jakaś okrutna ironia losu kazała mu zjawić się właśnie w dzień narciarskich mistrzostw Polski, o których niegdyś tak często rozprawiał i marzył w skrytości ducha.

Wszelkimi sposobami staraliśmy się odwrócić jego uwagę od tego tematu i mówić o czemś obojętnym.

Niestety, Mietek pewno przeczuwał, że coś przed nim ukrywamy, lub widział afisze, porozlepiane po wszystkich rogach ulic. Ze zbliżaniem się godziny dwunastej stawał się coraz niespokojniejszy. Widać było, że trapi go jakaś myśl, której nie może się pozbyć.

— Słuchaj Józek. Dlaczego dziś ostatnia godzina jest wolna?

— Bo widzisz... to jest... chudy wyjechał i matematyki niema.

— Aha... no dobrze.

Po czwartej lekcji, gdy wszyscy pakowali książki, zobaczyłem, że Mietek zachowuje się jakoś niewyraźnie. Złożył swoje przybory, znów je wyjął; coś długo medytował, aż niespodziewanie chwycił laskę i chyłkiem skierował się ku wyjściu.

— Mietek, Mietek, poczekaj. Dokąd się tak śpieszysz? Chodź zagramy w szachy, właśnie...

— Idą na skoki — rzucił twardo.

— Człowiecze na jakie skoki? Co ci się przyśniło?

— Idę na skoki — powtórzył zdecydowanie.

Odwrócił się i pokustykał, jak tylko mógł najprędzej.

---

— Halo, halo! Rozpoczynamy pierwszą serję skoków do kombinacji o tytuł międzynarodowego mistrza Polski!

— Jako pierwszy skacze dotychczasowy mistrz, Bronisław Czech S. N. P. T. T.\*).

Po trybunach przeszedł cichy pomruk. Skoki ulubieńca publiczności były zawsze atrakcją dnia.

— Tor wolny! — ryknął po raz ostatni megafon.

Rozległ się krótki, urywany gwizd; starter opuścił energicznie czerwona chorągiewkę; skocznia była otwarta.

Bronek ostatni raz sprawdził wzrokiem wiązania, poprawił małą, tyrolską czapkę i skośnym rzutem wypadł na tor. Skurczył się, zebrał w sobie, dopadł wśród świstu rozpieranego powietrza i skrzypienia śniegu przepaścistego progu skoczni i rzucił się w powietrze.

Całą siłą swego młodego ciała przeżył się i parł w górę, aż lot jego osiągnął maksymalną wysokość.

Wtedy począł zwolna chylić się ku przodowi i, podając pierś naprzód i spokojnie pracując rękoma, w ślicznym, miękkim stylu płynął przez powietrze.

Krótki, urywały łomot; elastyczny, elegancki przykłek i już pędził po stromym zeskuku wśród ogłuszających oklasków porwanych tłumów.

Z zapartym oddechem podziwiałem wspaniały skok nieźrównanego mistrza.

Bronek już stał, a ja jeszcze drżałem z emocji i nie śmiałem spokojnie odetchnąć.

Nagle uczułem, że ktoś mnie kurczowo ścisnął za rękę. Odwróciłem się. Koło mnie stał blady jak płótno Mietek i drżącymi wargami szeptał ledwo zrozumiałe słowa.

— Józek, powiedz... powiedz czy ja... jeszcze... będę... mógł... kiedyś...

— Ależ Mietek, daj spokój... co tobie?

— Ja... ja wiem, że już nigdy... nigdy...

Otoczyli nas koledzy i starali się pocieszyć biednego Mietka. Ale on drżał cały i słał się z osłabienia. Po jego wynędziałej twarzy ciekły duże, perliste łzy.

Biedny Mietek. Wiedzieliśmy dobrze, co dzieje się w jego duszy. Wzięliśmy przyjaciela pod rękę i zeszedliśmy kilkadziesiąt kroków w las. Otoczył nas poważny, wiekowy, tatrzański bór. Milczeliśmy wszyscy.

W okóło nas potężne konary, poruszane lekkim powietrzem, szeleściły gęstem igliwem i zdawały się szeptać zcicha.

Bezmierny ból malował się na twarzy biednego kaleki. Zgasłym wzrokiem wpatrywał się w ciemne wnętrza leśnych głębi.

A od czarnych, poszarpanych turni, od przepaścistych urwisk skalnych, po przez ciche doliny i nieprzebyte lasy szedł, ledwo do słyszalny, powiew, szept, jęk prawie...

Jęk utraconej młodości.

---

\*) Sekcja narciarska polskiego towarzystwa tatrzańskiego.

# Kronika

## Zebranie Sodalicji

Dnia IX. 32 r. odbyło się pierwsze powakacyjne Zebranie Sodalicji pod znakiem zdecydowanej reorganizacji kółek sodalicyjnych i walki, za wnioskiem kol. Pniewskiego, z ateizmem w szkole. Zarząd Sodalicji spoczywa w ręku H. Berka—prezesa, L. Wojtczaka—v.-prez., H. Chenczkego — sekretarza, R. Tomca—skarbnika i Eug. Różańskiego — bibliotekarza. Dzięki szczególnemu zainteresowaniu się sodalisów sprawami misyjnymi, powstało kółko misyjne; kółko eucharystyczne zaś podniosło swe wymagania i zyskało za to na doskonałości. Praca sodalicyjna tego roku postępuje pod hasłem: „Bądź miłosierny!“, powziętem na zjeździe w Gostyniu Wlkp. 5, 6 i 7 lipca, gdzie uczestniczyli także w obradach delegacji. Po załatwieniu spraw formalnych zebranie zamknięto.

## Z Koła Historycznego

Dnia 23. IX. b. r. odbyło się pierwsze organizacyjne zebranie „Koła Historycznego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego“ zawiązane i pozostające pod opieką p. prof. Fabrycego. Na zebraniu tem uchwalono statut Koła i wybrano Zarząd, w skład którego weszli: prezes—kol. M. Bładowski, kl. VIII, członkowie Zarządu: kol. J. Ulrych, kl. VIII, kol. T. Pniewski, kl. VIII i kol. J. Garliński, kl. VII. Uchwalony statut zapoznał członków Koła z ich obowiązkami i prawami. Celem Koła jest pogłębianie wiadomości historycznych, nabytych na lekcjach, ogólne samokształcenie się oraz samowychowywanie obywatelskie.

## Z „Samopomocy“

Praca w „Samopomocy“ już wre. Nowy Zarząd z energicznym prezesem, kol. Zuchowskim i niemniej energicznym vice-prezesem, kol. Chenczkiem na czele dokłada wszelkich starań, aby w tym roku praca we wszystkich sekcjach „Samopomocy“ szła sprawnie. Uruchomiono już „Spółdzielnię Uczniowską“, gdzie uczniowie mogą się zaopatrywać w materiały piśmienne po cenach minimalnych i czytelnie, gdzie przy dźwiękach muzyki radjowej mogą członkowie „Samopomocy“ mile spędzić czas, czytając pisma i gazety. Ostatnio, jak się dowiadujemy, zostanie uruchomiona także smaczna kuchnia uczniowska.

## Z Koła Sportowego

Dnia 23.IX. 32 roku odbyło się pierwsze powakacyjne zebranie Koła Sportowego. Na zebraniu tem uchwalono statut i wybrano Zarząd w składzie: prezes — kol. Zieleniewski Janusz, kl. VIII, vice-prezes — kol. Tęsiorowski Jan, kl. VII, czł. Zarządu: kol. Garliński Józef, kl. VII i kol. Karwasiński Jan, kl. VIII. Obszerne sprawozdanie z działalności Koła podamy w następnym numerze.

# Dział rozrywkowy

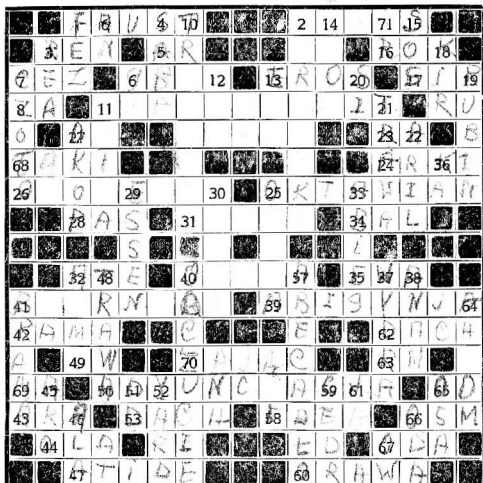
pod redakcją kol. L. Wojtczaka, kl. VIII.

Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem działu rozrywkowego do dnia 25 października włącznie.

Za najlepsze rozwiązanie redakcja przernacza nagrodę książkową.

## Krzyżówka

Podał A. Winczakiewicz.



Poziome: 1. utwór Goethego, 2. rzeka w Azji, 3. rzeka w Europie, 5. miana powierzchni, 7. pierwiastek chemiczny, 8. przyimek, 9. narodowość (wspak), 11. przydomek dynastji andegawenskiej rządzącej w Anglii, 13. bożek miłości, 16. okres czasu, 17. pan (w języku obcym), 23. bożek egipski, 24. jaja rybie (wspak), 25. cesarz rzymski, 26. wosk ziemny, 28. część ubrania, 31. miasto w Polsce, 32. litera grecka (wspak), 34. zabawa, 35. imię żeńskie, 39. państwo afrykańskie, 40. bogini przeznaczenia, 41. pisarz norweski, 42. oprawa, 43. gatunek papugi, 44. imię żeńskie (zdrobniałe), 47. imię żeńskie biblijne (wspak), 49. zaimek, 50. odsądzenie, 53 część domu, 58. myśl przewodnia — cel, 60. rzeka na Węgrzech, 62. nakrycie domu, 63. wpisz *rm*, 65. dwa samogłoski, 66. pierwiastek chemiczny, 67. góra na krecie znana w starożytności, 68. pastwiska, 69. posiada 70. grzywa leśny.

Pionowe: 1. czapka turecka, 2. jednokomórkowce wodne (wspak), 3. amerykański ptak podobny do strusia, 4. żona Abrahama, 6. przyimek (wspak), 7. część głowy, 10. zdrojowisko w Czechach, 11. zwój papieru, 12. liczba, 13. stopień oficerski w Turcji, 14. pierwiastek chemiczny, 15. przypawa, 18. materia żalobna, 19. drogi kamień, 20. nuta, 21. roślina pospolita, 22. instrument muzyczny (wspak), 25. siedziba Radziwiłłów na Wołyniu, 27. rów strzelecki, 29. przemysto-

we miasto niemieckie, 30. maszyna wojenna do rozbijania murów, 33. jodła (w języku martwym), 36. litera (fon), 37. zwierzę żyjące przy wodzie, ssak, 38. państwo w Indochinach, 40. wrażenia odbierane przez zmysł dotyku, 41. szerokie wrota, 45. módl się (po łacinie, wspaniale), 46. imię żeńskie (zdrobniale), 48. roślina, 51. dwie spółgłoski, 52. miara długości, angielska, 57. zbiór liter, 59. drzewo, 61. zaimek, 62. owad (wspaniale), 65. owad, 66. utwór poetycki, 71. miasto starożytne w Chaldej.

## Odpowiedzi Redakcji

**Kol. Mik-Pal.** Niestety, przyjąć nie możemy. Bardzo słaba treść, moc błędów stylistycznych. Prosimy jednak nie tracić nadziei i pracować dalej.

**Kol. „Hance”:** Tytuł zbyt straszny — nowela zbyt łagodna. Czy Kol. wogóle się kiedy kochała?

**Kol. „Dudziowi”:** Bardzo współczujemy kol., że kol. tak nieszczęśliwie się zakochał; cała redakcja płakała przy odczytywaniu wiersza kol., radzilibyśmy jednak kol. zaprzestać tego jęczącego stylu i tonu.

**Kol. Jurkowi K.:** Kochany Jurku! Wiersz drukujemy, feljetonu zaś ze względów od nas niezależnych zamieścić nie możemy. Nie gniewaj się, bo to nie z naszej winy. Skrobnij coś do następnego numeru. Prosimy Cię o stałą współpracę. Daj pyska i pisz.

**Kol. Olesiowi B.:** Kochany Olesiu! Ze względów technicznych nie mogliśmy umieścić humoreski i „Mojżesza”. Odkładamy do następnego numeru.



# **KSIĘGARNIA SPOŁECZNA**

H. i A. Fibiger

Kalisz, ul. Marsz. Piłsudskiego 33

\_\_\_\_\_ poleca na sezon: \_\_\_\_\_

*Niektórzy*

podręczniki szkolne, materiały  
piśmienne w wielkim wyborze,  
jak również nuty oraz wszelkie  
nowości natychmiast po ukaza-  
— — niu się w druku — —

# **Zakład Introligatorski B. TONTOR**

Kalisz, Aleja Józefiny 8

Najtańsza i najsolidniejsza oprawa książek.

Książki szkolne od 50 gr.

Wykonanie szybkie.

Oprawa obrazów.

# **„SPÓŁKA“ wł. J. RAUCH**

Kalisz, róg Warszawskiej i Kanonickiej

\_\_\_\_\_ poleca po niskich cenach: \_\_\_\_\_

Dywany, Firany, Chodniki, Ceraty, Kołdry watowane, Koce,  
Pledy podróżne, wszelką bieliznę: męską, damską, dziecin-  
ną, pościelową i stołową oraz płótna. Paltła nieprzema-  
kalne i gabardinowe, Kurtki skórzane, Kapelusze męskie,  
Czapki, Parasolki, Laski, Suknie damskie, Wyroby dziane,  
Pończochy, Skarpetki, Szelki, Spinki i wszelkie artykuły  
— — podróżne i sport. — —

Ceny niskie.

Ceny niskie.

**Kwiaciarnia**  
**„FLORA”**  
**Kalisz, Warszawska 8**

poleca w wielkim wyborze kwiaty doniczkowe i cięte po cenach zniżonych.

**Pierwszorzędny Zakład Krawiecki**  
**ALEKSANDER SZEWIEJA**

w Kaliszu, ul. Marjańska 2

Specjalność:

mundury szkolne i harcerskie.

Wykonanie solidne Ceny przystępne

**KSIĘGARNIA**  
**MAURZYCY GRIN**

**Kalisz, Plac 11 Listopada 15**

poleca:

podręczniki szkolne, nowości beletrystyczne,  
książki dla młodzieży, nuty, materiały piśmienne i pióra wieczne.

**Uwaga!**

**Uwaga!**

**Koledzy!**

W materiały piśmienne zaopatrujcie się jedynie

**w „Spółdzielni Uczniowskiej“**

przy gimn. państw. im. A. Asnyka, która posiada składnię po cenach minimalnych: bruljony,  
— — zeszyty, pióra, ołówki i t. p. — —

**Popierajcie firmy ogłaszające się w „SZTUBAKU“!**

Skład lamp i artykułów elek-  
trotechnicznych

**„PROMIEN”**

**M. Łągiewski**

Kalisz, Warszawska 1.

*XI Sobolewski*

**Tania stacja**

**J. Ratyńskiej**

ul. Łazienna 11, mieszk. 4

Dobra opieka

**„POLBIURO”**

Artykuły biurowe i wy-  
roby papiernicze. Repe-  
racja maszyn do pisania.  
Drukarnia i introligator-  
nia. Nauka pisania na  
maszynach.

Kalisz, Plac 11 Listopada 33, tel. 104

**Tania stacja**

**M. Śniegułowej**

ul. Piekarska 9, mieszk. 8

**Uwaga! Uwaga!**

Ważne dla uczniów i rodziców!  
Od 1 września r.b. wykonuje się  
na oczekaniu fotografie do  
matrikuł, po 30 groszy sztuka  
tylko w zakładzie fotograficznym

**„PHOTON”**

Kalisz, Marsz. Piłsudskiego 18

**„Szkolnica Polska”**

Sprzedaż materiałów pis-  
mennych, oprawa obra-  
zów, ramy owalne, kwiaty  
do wazonów i przypięć

**M. BĄKOWSKA**

Kalisz, Marsz. Piłsudskiego 39

**Sklep galanteryjny**

**A. DYMKOWSKI**

Kalisz, ul. Warszawska 20

Ceny przystępne

**ZAKŁAD KRAWIECKI**

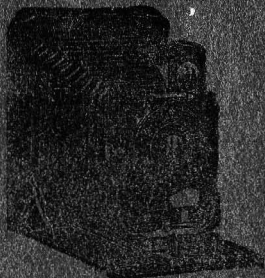
**L. GRĘDA**

Plac 11-go Listopada № 2

Poleca pierwszorzędnie wy-  
konane mundury szkolne,  
ubrania cywilne i wojskowe  
z własnych i powierzonych  
materiałów.

FABRYKA  
BISZKOPIÓW I PIERNIKÓW  
**K. MYSTKOWSKI**  
KALISZ

TELEFON Nr. 407



Aparaty  
Błony  
Chemikalja  
Papiery  
Płyty  
Przybory

Fotograficzne

najkorzystniej nabędziesz w firmie

**A. BANASZKIEWICZ**

Kalisz, Plac 11 Listopada № 14

— Płyty gramofonowe, albumy, Kalendarze marmurowe —  
— — — Wyroby zakopane i s. p. — — —